Nr. 19 We Lwowie, 1 października 1933 Rok 55



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

WITOŁD ZIEMBICKI

SOBIESCIANA

Przyczynki do pracy: „Jan Sobieski jako myśliwy"

(Ciąg dalszy)

DUPONT.

Pamiętniki tego autora[94]) są jednem z najważniejszych źródeł, wartość zaś mają tem większą, że obejmują cały okres panowania Jana III. Są one cenne głównie z punktu widzenia fachowo-wojskowego, Filip Dupont był bowiem inżynierem artylerji. Niemniej jednak był to bystry obserwator, a jako człowiek, oddany Sobieskiemu i jego nieodstępny towarzysz, zostawił w swej spuściźnie wiele ważnych uwag i spostrzeżeń, wyniklych z bezpośredniego przeżycia. Nie jest i on, jak wielu cudzoziemców, wolny od błędów, zwłaszcza gdy chodzi o historję, geografję, lub genealogję. Ale to, co sam widział, przedstawił ściśle i wiarygodnie, jak to podkreśla wydawca jego pamiętników, Janicki[95]).

Uwagi jego o zamiłowaniu Sobieskiego do łowów mają więc dla nas wartość świadectwa pierwszorzędnego. Widać z nich, że kreślił je ktoś, znający króla z bliska, znający go doskonale i dający nam — po za opisem samego polowania — możność wniknięcia w istotę rzeczy, możność zrozumienia wartości i ważności tej rycerskiej rozrywki dla Jana III.

Dupont pisze, co następuje:[96])

„Król zarówno w zimie, jak i w lecie, niechętnie oddalał się od granicy. Za jego poprzedników Tatarzy zapuszczali się w kraj najgłębiej w czasie zimy. Wyruszał więc do Warszawy dopiero na krótko przez otwarciem sejmu. Po za tem cały czas zajmowały mu łowy, — namiętność,

[94]) Mémoires pour servir à l'histoire de la vie et des actions de Jean Sobieski III du nom, roi de Pologne, par Philippe Dupont, attaché à ce prince en qualité d'ingénieur en chef de l'artillerie. Publiés d'après manuscrit par J. Janicki. Warszawa 1885. (Stanowi tom VIII wydawnictwa: Bibljoteka ordynacji Krasińskich, Muzeum K. Świdzińskiego). — Wydanie polskie: Pamiętniki Duponta, z francuskiego rękopisu przełożył Zygmunt Sarnecki, tom I, Kraków 1883. (Zarazem tom IV Pamiętników do czasów Jana III, wydanych przez Wład. Markowskiego).

[95]) W przedmowie.

[96]) Ustęp z wydania francuskiego, str. 186, przytaczam we własnym przekładzie.

ustępująca jedynie rycerskiemu zamiłowaniu do walki z nieprzyjacielem. To bowiem górowało ponad wszystkiem. Trzeba też przyznać, że przyjemności łowów zażywał on zupełnie inaczej, aniżeli to jest w zwyczaju gdzieindziej, gdzie mianowicie panujący najczęściej poprzestaje na przysłuchiwaniu się zdaleka graniu psów i rogów myśliwskich, ale ściganego zwierza nie widzi, aż chyba po wszystkiemu. Swoją drogą trudno, żeby było inaczej w takich krajach, które nie mają ani podobnych puszcz, jak Polska, ani tej zwierzyny.

„Oto więc, jak polował król polski. Utrzymywał on zawsze pięciuset janczarów, podzielonych na dwie kompanje[97]). Są to Turcy rodowici, odziani i uzbrojeni zupełnie według swoich tureckich przepisów i zwyczajów i prowadzeni przez własnych oficerów, również Turków, wydających rozkazy w swoim języku. Janczarowie ci byli wysokiego wzrostu i silnej budowy, a przytem odznaczali się wypróbowaną wiernością. Zasadniczym ich przy armji w polu obowiązkiem było towarzyszyć pojazdom królewskim, opiekować się namiotami (ich przechowywaniem, ustawianiem, zwijaniem). Po powrocie zaś z wyprawy wojennej używani oni byli do polowań królewskich, a to jak następuje:

„Obławnicy i dojeżdżacze, upatrzywszy pewien rewir, wyruszali tam pod wieczór z psiarnią i sieciami, w towarzystwie uzbrojonych w siekiery i strzelby janczarów, którzy z wielką wprawą i szybkością zaciągali sieci wkoło wskazanego im przez obławników obszaru leśnego. — W obwodzie pozostawiano jedną tylko przerwę, a to w miejscu, komunikującem z większą, otwartą przestrzenią. Na niej to dojeżdżacze, w pewnej odległości od lasu, ustawiali się w półkole, trzymając na uwięzi psy, ułożone do łowów na wszelkiego zwierza. Król zajmował stanowisko na wprost owego otworu. Jego świta rozstawiała się również w półkole, pozostawiając przy królu ledwo kilku strażników. Następnie spuszczano psy, które rozpoczynały gonitwę za każdą sztuką, wypadającą z zamkniętego koliska. Gdy tylko bowiem jakiś zwierz zbliżał się do sieci, janczarowie zmuszali go krzykiem i strzałami, dawanemi w powietrze, do zawrócenia, tak, że nareszcie trafiał na przerwę i umykał na równinę. Gdy się pojawił niedźwiedź, wypuszczano psy, do walki z nim przyuczone, podobnież rzecz się miała z innemi gatunkami, jak: jelenie, losie, dzikie konie[98]), dziki, wilki, rysie i t. d., tak, że w ciągu jednego popołudnia w oczach króla i ku jego wielkiemu zadowoleniu, brano w ten sposób większą ilość przeróżnych zwierząt. Jeżeli zwierz jakiś zbyt wiele szkody wyrządzał wśród psów, ludzie podbiegali z bronią i dobijali go.

„Król napawał się też graniem psów i muzyką rogów myśliwskich. Wątpię, ażeby gdziekolwiek indziej możliwe były sceny łowieckie tak zajmujące. Co chwilę nowy widok bawił uczestników. Bo coraz to inny zwierz wybiegał na równinę, to jeden po drugim, to znowu po kilka sztuk naraz, a rozmaite psy, zależnie od gatunku i mocy tego zwierza, szły z nim w zapasy.

„Ten rodzaj łowów, a mianowicie łowy z psami gończemi, nie był jedynym, jakie król uprawiał. Używał on i innych rozrywek myśliwskich, zwłaszcza zaś polowania „z ptakiem". A ptaków myśliwskich miał wielką ilość przeróżnych, były wśród nich i orły, znakomicie ułożone, umiejące unieruchomić nawet daniela, lub sarnę.

[97]) Ustęp ten wyjaśnia dostatecznie i autorytatywnie, do jakiego celu na polowaniach Sobieskiego używani byli janczarowie, wymieniani przez różnych naszych autorów łowieckich bez podawania źródła. Także i inni pamiętnikarze, jak Beaujeu, Regnard, wspominają o janczarach, pozostających w służbie Sobieskiego i stanowiących jego straż przyboczną. Beaujeu (str. 188—189), pisze, podobnie jak Dupont, że byli oni podzieleni na dwie kompanje, wyjaśnia też częściowo ich powstanie. Drugą mianowicie kompanję janczarów utworzył Sobieski z oddziału Wołochów, zbiegłych wraz z oficerami i sztandarem z Kamieńca, z pod komendy tureckiej. Król odbył (4. VIII. 1681) przegląd tego oddziału i przyjął go do swej służby. Byli mu odtąd bardzo wierni, towarzyszyli mu i pod Wiedniem. Regnard (str. 232) podaje również, że był to oddział, zbiegły z Kamieńca, że żołnierze ci umundurowani byli po janczarsku, zupełnie jak janczarowie, których znał z Turcji, że król zatrzymał ich pomimo głosów sceptycznych i że był z nich zawsze zadowolony.

[98]) Szczegół, że Sobieski polował jeszcze na dzikie konie, wydaje się zupełnie prawdopodobnym. Koń dziki polski podobno jeszcze w XVIII wieku hodowany był w zwierzyńcu zamojskim.



Jan Sobieski poluje z sokolami na białe czaple.
Obraz Juljusza Kossaka.

„Co do dzikich koni, są one małego wzrostu, sierść mają koloru myszy. Wielkie zwierzęta, jak dzikie woły i krowy, znachodzą się jedynie na Litwie".

Z powyższego opisu widzimy, jak cenne wiadomości przekazał nam świadek tak wiarygodny. Jest to, w krótkich słowach, jakby streszczenie opisu ówczesnego łowiectwa wogóle, a sposobów polowania Jana III w szczególności. Nikt też lepiej od Duponta nie umiał wniknąć w psychiczną stronę jego myślistwa. Zrozumiemy to ze słów, odnoszących się do okresu rezygnacji, w którym nadszedł wreszcie zmierzch jego łowów. Było to u schyłku życia.

Oto jak pisze Dupont: [99])

„...Jakkolwiek zdrowie króla bardzo już podupadało, nie chciał on przecież oddalać się od granicy. Trwał w jej pobliżu jeszcze na 18 miesięcy przed śmiercią. Jego obecność dodawała tej części Rzeczypospolitej spokoju i bezpieczeństwa. Zwoływał sejm, gdy tego sprawy państwa wymagały, ale natychmiast po ukończeniu obrad wracał do swojej ojczystej siedziby. Jedynem zajęciem, które sprawiało mu jeszcze przyjemność, było p o l o w a n i e, chociaż nie mógł go już zażyć wedle swego upodobania. Bo nie mógł już dosiąść konia i wózkiem odkrytym w pole wyjeżdżał. Jak wielką było to dla niego przykrością i jak wielkiem umartwieniem, tego nie umiałbym wypowiedzieć."

COYER

Ksiądz Coyer jest ostatnim z autorów cudzoziemskich, o którym chcę wspomnieć[100]). Znaczenie jego, jako autora oryginalnego ,jest wogóle niewielkie, czerpał bowiem głównie z Duponta. Dla nas może być z jego uwag interesujące chyba następujące spostrzeżenie o polskich kobietach:

„Niewiasty polskie są bardzo przyjemne. Na równi z kawalerami dzielą pracę ł o w i e c k ą. Nie są one tak delikatne, jak kobiety południowe, odbywają np. zimowe podróże, po sto i więcej mil, bez żadnego trudu".

JABŁONOWSKI.

Kilka, drobnych zresztą, szczegółów o polowaniu, czy o zwierzętach, znajdujemy w „Dzienniku" Jana Stanisława Jabłonowskiego, syna hetmańskiego[101]). Notatki, mogące nas zainteresować, pochodzą z roku 1695. Nie dotyczą one króla, ale mają dla nas wartość przyczynków do oświetlenia epoki, tembardziej że pochodzą od kogoś, stojącego tak blisko dworu królewskiego.

Pod datą 18 marca zapisał Jabłonowski, że po przyjeździe ze Lwowa do Buska[102]), nie zastał tam nic nowego, prócz wilka, który wpadł w jamę. Na wilka tego chciano następnie urządzić polowanie z chartami, ale zanim to się stało, wilczysko zdechło w jamie. Zawiedziony Jabłonowski pisze: „I to nawet niepewna, co zda się być w jamie. Espoires humaines sont les vrais songes de la vie i nic pewnego na jawie".

Dnia 2 kwietnia, to jest w Wielką Sobotę, — „rozstrzeliwaliśmy, pisze, — śledzia z fuzji i pistoletu, udało się i mnie"[103]).

13 kwietnia: „Zająca na podwórzu szczwałem, a potem przejeżdżałem się konno, ale szpetnie. Śnieg, błoto, wiatr i zimno".



A b r a m o w i c z Br.: Sokolnik z XVII wieku.
Z albumu: Pamiątka 200-ej rocznicy oswobodzenia Wiednia, Kraków 1883.

25 kwietnia przysłano mu jarząbków.

28 kwietnia: „Przed świtem wstawszy, puściłem się czółnem rzeką Bugiem za stawem na kaczki, ale naprożno strawiłem poranek, tylkom się słowików nasłuchał. Po obiedzie byłem szczęśliwszy i zabiłem łyskę i rybołowa".

2 maja jeździł autor z żoną do dworku p. Polanowskiego nad stawem, tam też strzelał kaczki.

17 maja: „Przed świtem pojechałem z charty w pole... Mieliśmy szczęście, dwóch uszczwaliśmy, dwóch uciekło zajęcy".

[99]) Str. 233.

[100]) C o y e r G. F., Histoire de Jean Sobieski, roi de Pologne, à Varsovie, 1761 (i szereg późniejszych wydań). — W przekładzie polskim: Historja JanaSobieskiego, przekład polski bezimiennego tłumacza. Uwagami objaśnił i uzupełnił Wład. S y r o k o m l a. Wilno 1852. Dwa tomy.

[101]) Dziennik Jana Stanisława J a b ł o n o w s k i e g o. Z oryginalnego rękopisu Bibljoteki Krasińskich wydał i przypisami objaśnił Wł. C h o m ę t o w s k i, „Gazeta Polska" Warszawa 1865. Także w osobnej odbitce. Prócz tego „Dziennika" zostawił młody Jabłonowski cały szereg pism tak rękopiśmiennych, jak drukowanych, które wyrobiły mu znakomite imię w literaturze. Po za historycznem i politycznem, mają niektóre z nich szczególniejsze znaczenie dla historji naszych zwyczajów i obyczajów, nadto zaś dla języka.

[102]) Busk, przy ujściu Pełtwi do Bugu. Należał do Jabłonowskiego.

[103]) Wskazuje to na zwyczaj rozstrzeliwania śledzia na znak zakończenia wielkiego postu. To samo znaczenie miał dawny zwyczaj ludowy obwieszania śledzia na przydrożnem drzewie.

20 maja poluje wraz z ojcem, hetmanem Jabłonowskim, w Porzeczu[104]). „Cieszył się ojciec w polu, ale lepszy zając, niż pies, bo uciekł".

Także następnego dnia wyjeżdżano w pole, ale znowu bez wyniku.

Dnia 5 sierpnia polowano pod Rohatynem[105]). „Po obiedzie, pisze, szczwaliśmy w polu niedźwiedzia, uciekł. Pięć sarn pouciekało".

13 sierpnia uszczwano sarnę.

23 sierpnia spuszczano staw w Podkamieniu[106]). „Ułowiłem, notuje Jabłonowski, ogromnego, dwułokciowego szczupaka, w nim ledwo nie żywą cyrankę".

We wrześniu, tamże, poluje parę razy. M. i pisze pod datą 26-go: „Po obiedzie z ptakiem jeździłem na przepiórki. Prezent to p. Stamirowskiego".

Wreszcie pod datą 31 września notuje we Lwowie: „Derwisz Murza posła przysłał. Jegomość dał mu audjencją, przy niej szkapkę, nahajkę i sokolnika z rarogiem ofiarował".

WESSLÓWNA I LESZCZYŃSKA.

Zamykając serję pamiętnikarzy, damy jeszcze głos Sabinie Grzegorzewskiej, która przekazała potomności wspomnienia o Marji Wesslównej, późniejszej małżonce królewicza Konstantego Sobieskiego i o jej przyjaciółce, Zofji Leszczyńskiej[107]).

Opisując zamek żółkiewski, nie pomija ona wzmianki o zwierzyńcu tamtejszym. „Przy zamku, — pisze — był obszerny zwierzyniec, w którym nieboszczyk król ulubione swe odbywał łowy". Bawiąc w Żółkwi „oglądałam dodaje — ów, tyle przez cudzoziemców podziwiany zwierzyniec, w którym król przyjmował w przepysznych tureckich namiotach posłów zagranicznych i świetne wydawał uczty".

„Z największym zbytkiem — mówi dalej już o czasach późniejszych, — urządzone było w Żółkwi myślistwo, gdyż królewicz (Konstanty) na wzór innych panów i udzielnych książąt, wielce w łowach był zamiłowany. Miał osobno urządzony pawilon w zwierzyńcu, w którym mieściła się służba łowiecka, zbrojownia, psiarnia, sokolarnia, mieszkanie dla gości i służby w czasie gonitw"[108]).

W notatkach Zofji Leszczyńskiej znajdujemy ciekawy fragment o łowach, urządzonych w Żółkwi przez królewicza Konstantego w kwietniu 1725, na przyjęcie brata, królewicza Jakóba[109]). Opowiadanie to pochodzi wprawdzie z trzeciego dziesiątka lat po śmierci Jana III, przytaczam je jednak dla zaokrąglenia obrazu.

„...We czwartek świąteczny były wielkie łowy. W zwierzyńcu wystawiony był na prędce, z tarcic, wysoki na dwa piętra budynek. Środek jego, zarysowany w ośmiokąt, tworzył wielką salę, na jej ścianach pozawieszane były łowieckie sprzęty, zastępujące lustra, malatury i inne ornamenta. Królewicz kazał na ten raz przewieść tu zamkową zbrojownię. Szable, piki, rusznice, chorągwie, buńczuki, kulbaki, misternie i umiejętnie poukładane, stanowiły tu firanki, draperje, kotary. Landszafty z ludźmi i zwierzętami, skóry łosie i niedźwiedzie, zastępowały kobierce, jak również okrywały stoły, ławy, zydle i inne sprzęty. Gdy uderzyła godzina łowów, zaszły przed zamek parokonne karjolki, świeżo w Anglji wynalezione, bez kozła na przedzie, bez woźnicy i przez panów powożone. Każdy z nich zasiadł z damą, która mu się losem dostała. Wielu z naszej młodzieży gniewało się skrycie, że im wybór nie był zostawiony. Puszczano się na różne fortele, aby szczęściu dopomódz, z wielkiem oburzeniem pana sekretarza królewiczowej, rozpisującego kartki. Książę-pułkownik[110]) łamane sztuki wyprawiał, aby wsadzić do swojej kolasy panią wojewodzinę połocką[111]), ale mu się nie udało i dostała mu się ...pani stolnikowa nowogrodzka[112]), nieładna, niemłoda, tako sobie domowego obyczaju białogłowa, przyjmowana na assamblach i festach dworskich przez wzgląd na małżonka, dla którego królewiczostwo mieli wielki afekt i estymę. Na widok towarzyszki dość bogatej tuszy, rozsiadającej się w przepysznej, złocistej, angielskiej kolasie, zachmurzył się książę-pułkownik, wymuskany, wyświeżony, a do tego śmiertelnie zakochany kawaler. Zły jego humor powiększył się uśmiechem i przekąsami mniej szczęśliwych do ręki pięknej wojewodziny współzawodników. Bądź-cobądź trzeba było usiąść na małym brzeżku siedzenia obok pani stolnikowej, konie zaciąć i jechać pospołu, bo nie było na to lekarstwa, a że wszystko się kończy na tym świecie, i złe i dobre, tak też niedobrana para zajechała do zwierzyńca jak inni, wśród odgłosu trąb, grzmotu wystrzałów, wycia, pisku, szczekania psów i wołania strzelców. Oczekiwało przybyłych myśliwców suto podane w budynku myśliwskim śniadanie, z samej prawie zwierzyny złożone, w której nasze polskie potrawy, jak bigos, żubrowa pieczeń, głowa dzika, w całej okazałości świeciły, bo też i zabawa była szczeropolska... Wszyscy wzięli się do jedzena, księciu Jakóbowi tylko podawano niemieckie konfekta. Węgierskie wino mu też szkodziło, miał więc zastawione przed sobą francuskie, lekkie jak woda. Gdy hajduk, obnoszący to wino, przyszedł zkolei do pana starosty pińskiego, Baworowskiego, który wysuszał tęgo kielichy, a nawet antałki. „Co to jest mospanie?! — zawołał — i królewicz Jegomość te męty pije?... wolałbym z kretesem smoły połknąć!" Tu, obracając się do sąsiada, podkomorzego litewskiego, rzekł mu na ucho: „Coby to był za król, który węgrzyna nie pije" — a wziąwszy stojący przed nim, blisko garncowy puhar,

[104]) Zapewne pod Komarnem.

[105]) Rohatyn był królewszczyzną.

[106]) Mowa tu o Podkamieniu w powiecie rohatyńskim. Miejscowość ta była własnością Jabłonowskich. Zob. Słownik geograficzny, tom VIII, str. 406.

[107]) Marja Józefa Wesslówna, starościanka rożańska, urodzona z hrabianki Starhemberg, córki komendanta Wiednia z czasu odsieczy. Królewicza Konstantego Sobieskiego zaślubiła w roku 1708. Na podstawie opowiadań, zasłyszanych w rodzinie, jakoteż danych z archiwum Wesslów, spokrewniona z nimi autorka, Sabina z Gostkowskich G r z e g o r z e w s k a, napisała: Pamiętnik o Marji Wesslównie, Warszawa, 1887. Przy końcu tego „Pamiętnika" znajdują się „Urywki z notatek Zofji Leszczyńskiej".

[108]) Pamiętnik, str. 205, 212.

[109]) Str. 270.

[110]) Był to August Aleksander Czartoryski, pułkownik regimentu gwardji pieszej koronnej, potem wojewoda ruski.

[111]) Była nią Zofja z Sieniawskich, córka hetmana, małżonka Stanisława Denhoffa, wojewody połockiego. Po tegoż śmierci wyszła za wspomnianego księcia Augusta Czartoryskiego.

[112]) Osoba mi nieznana.

zawołał na swego pachołka: „Podać mi tu sam węgierskiego", — nalał i wychylił co do kropli na zdrowie książąt. Nikt, wyjąwszy cudzoziemców, nie dziwił się panu staroście, każdy gwarzył to o tem, to o owem, gdy wystrzelono z moździerza na znak rozpoczęcia łowów. Dwunastu strzelców, ubranych w nowe, zielone, złotemi galonami suto obszyte kurtki, prowadziło sfory gończych różnego gatunku i przeznaczenia. Panie, uzbrojone w małe rusznice, lekkie i zręczne, wyszły do urządzonej wewnątrz galerji, skąd wygodnie i bezpiecznie strzelać mogły do przelatującego przed niemi w różne strony zwierza, panowie udali się pieszo wgłąb kniei, w której na nowo rozlega się hałas, wrzawa, krzyk. Strzelcy, to lecą jak opętani, to znów przycupnąwszy cichaczem, mierzą do jeleni i sarn, które spłoszone szczekaniem psów, jak widma przemykają wpośród gęstwiny drzew i krzaków. Dla honoru księcia Jakóba puszczono także kilku żubrów, świeżo z puszczy białowieskiej przyprowadzonych, jednego z nich książę własną ubił ręką. Najdzielniej wszakże strzelali nasz królewicz i książę pułkownik: we dwóch położyli przeszło sto sztuk grubego zwierza, nie chybiwszy żadnego strzału. I panie nasze w myślistwie nie dały się uprzedzić: pni hetmanowa Pociejowa[113]) sama własną ręką żubra zabiła, a pani wojewodzina połocka wyszedłszy z za kraty, pogoniła za niedźwiedziem, którego kordelasem przebiła. Poseł cesarski aż się za głowę brał z podziwu na taką odwagę pań naszych. Już w ciemną noc w tymże samym, co poprzednio, szyku, wróciliśmy do zamku, a po zmianie ubiorów, całe towarzystwo zasiadło znów do stołów..."

Być może, że przedstawiony tu, barwny opis, wymaga pewnych komentarzy, zwłaszcza gdyby chodziło o ścisłość co do zabijania żubrów i niedźwiedzi w sposób tak pozornie prosty, jak chce autorka. Niewątpliwie jednak, gdyby nawet było w tem nieco przesady, — jest i część prawdy. O dzielnem stawaniu pań polskich do współzawodnictwa w zapasach myśliwskich wszakże wspominał z podziwem Coyer, jak to wyżej widzieliśmy. Opowiadanie Leszczyńskiej ma dla nas przytem inne, głębsze znaczenie. Jest to jakby charakterystyka epoki przejściowej. Z jednej strony widać jeszcze resztki tężyzny rycersko-polskiej, jakby ostatnie tchnienie czasów Sobieskiego, a z drugiej zgubny wpływ czasów saskich i bezduszność życia zbiorowego, która, przeszczepiona na teren łowiecki, z zabawy rycerskiej czyniła teatralne widowisko.

Załączę tu jeszcze wypis z zachowanego w oryginale inwentarza zamku żółkiewskiego z owych czasów, w którym to inwentarzu znachodzimy szereg pozycyj, mających bezpośredni związek z łowiectwem. Rękopis, noszący nagłówek: „Regestr rzeczy w Zamku żółkiewskim zostawionych, spisany die 4 Decembris 1728 R." jest własnością dra Aleksandra Czołowskiego, który był łaskaw udzielić mi go do zużytkowania. Na czele regestru, pod porządkowym tytułem: „Skarbiec Nr. 1", wymieniono zawartość „szafy wielkiej domowej", skąd wyjmujemy następujące pozycje:

[113]) Emerencjanna z Warszyckich Ludwikowa Pociejowa, hetmanowa wielka litewska.

„Fuzja o czterech rurach szmelcowana nowa, z miarką i formą;
Fuzja o dwóch rurach szmelcowana nowa, w prinsmetal oprawna;
Fuzja paryska rżnięta biała, w srebro oprawna;
Takichże pistoletów paryskich, do tejże fuzjej należących, w srebro oprawnych, para;
Fuzja nowa, złotem nabijana, szmelcowana, w łożu korzeniowym;
Takichże para pistoletów i takiejże roboty;
Para pistoletów białych, prostych, od króla szwedzkiego;
Para pistoletów, złotem nabijanych;
Fuzja dziwerowana od JMPana Berciniego;
Sztućców cztery jednakowych dla myśliwców, parzystych. z taśmami zielonemi, ze dwoma formami;
Sztuciec wielki do niedźwiedzia, z formą;
Fuzja do sztucznego nabijania;
Trąbka myśliwska w srebro oprawna, bez musztuku (sic);
Pas ze smyczą z kółkami srebrnemi;
Obrożka jedna w srebro oprawna;
Myśliwskich trąb pobielanych dwie;
Kordesaszów[114]) w rękawicach para."

Nie zapominajmy, że mamy przed sobą inwentarz skarbca królewskiego. Obejmuje on więc tylko przedmioty najcenniejsze, głównie, jak widzimy, broń palną, — wszak to już wiek XVIII. Pośledni sprzęt myśliwski, czyto broń: jak łuki, arkebuzy, oszczepy, czyto sieci, czy wreszcie sprzęt sokolniczy, — to wszystko nie miało miejsca na zamku. (C. d. n.)

[114]) Kordesasz, wyraz, utworzony niewątpliwie z francuskiego: Cor de chasse, to znaczy „róg myśliwski". Są to znane francuskie trąby myśliwskie, skręcone w wielkie koło.

Z opowiadań góralskich o niedźwiedziu

(Opowiadania Andrzeja Tylki Suleji z Kościelisk. Zapisał w 1911 r. Juljusz Zborowski).

SABAŁOWE KAZANIE.

Zabiélek roz niedźwiedzia, kiek jesce ze Sabałom hodzowoł. Przinieślimy go do Kościelisków. A béło ftej w Kościeliskak norodu moc, bo cyhowali drzewo w lesie. Béli tamok wsioki[1]) z Marusiny, z Cérwienego[2]). Niedźwiédź lezoł na wozie, a ludzie sie mu przipatrzowali i stoli, bo to zawse ciekawo rzec taki niedźwiédź. A stoła tamok drabina tak na dak oparto, jak zwycajnie przi domie. Tak Sabała, ze bél figlorz i rod śmiéhy strojél[3]), wyseł na tom drabine i stanon se na niéj, na sceblu na nowysym, przezegnoł sie piéknie i zacon kozanie do nieboscika, telozby[4]) ksiądz na pogrzebie. Jo juz sitkiego nie bocem[5]), co ón ta fte ugodoł, ino to pamiętom, ze go stryke[6]) ci kumotrem naziwoł. Barz[7]) go przeprosoł, co go ukrzywdziél nieroz, pote wiecne odpociwanie zmówiél, no i śloz na ziém.

Ale ón to tak śmiéśnie mówiél swojom staroświeckom gwarom, ze sie ludzie śmioli do ospuku. Hoć ta pojedén głupsi to ta tęgo wzdyhnon i copke sjon[8]) za nieboscikowom dusicke.

[1]) mieszkańcy wsi; [2]) Maruszyna, Czerwienne — osady na Podhalu; [3]) chętnie robił żarty; [4]) jak; [5]) nie wiem; [6]) stryjkiem; [7]) bardzo; [8]) zdjął.

OKALECZONY NIEDŹWIEDŹ.

Roz jek widzioł niedźwiedzia, co mioł teli kamień wrośniony w łape. Widocnie kiesi[1]) sie mu werznon do rapy[2]), no i nimóg se rady dać i tak mu to juz ostało. Ej hłopci! Zabiélimy go w Zuberskiéj[3]). Sabała tak nad nim przepowiedzioł: Héj, ześ ty ta ku mnie nie przisel! Joby ci hnet poradziéł, cobyś nie kulawiéł, nie męcéł sie, biédoku!

[1]) kiedyś; [2]) łapa niedźwiedzia; [3]) Zuberska dolina w Tatrach orawskich.

„O N".

Mioł Sabała w Hohołoskiéj[1]) niedźwiedzia, co go ślakowoł[2]) pore lot. Ale to był niezwycajny zwiérz, bo sie Sabałowi uhéloł[3]). Wielgi béł, co cud Pana Boga, juhasom owce targoł w biołe rano i telo ta stoł o nik[4]), co z przebocéniem o włosne gówno. Nie roz, nie dwa razij seł za nim Sabała za ślake, ale juha béła mądro na podziwiénie, bo sie ślak w huściokak[5]) traciél i teloś go mioł. Toz to sie Sabała nieroz uzoléł przed nami:

— Jo tobie[6]) sukom, weredo orasko[7]), kiela[8]) roków, cobyśmy se uradziéli co i jako, a ty sie, obiesiu, ani ku mnie stowarzisić[9]) nie kces! Dyć to lo tobie hónor, co cie ślakujem, jo Jasiek Sabała. Ani mie nie usanowoł, ani nic. Djaskóweś zjod!

Ale to tak niby zartowoł, wrzeci[10]) se straśnie markociéł, ze mu tén niedźwiédź nie przihodzi na dróge.

Jaze sie roz spotkali w Hohołowskiej, — coz kie Sabała nimioł fte flinty. Tak sie mu ino wereda popatrzyła, głowom pokrącoł, cosi zmrucoł i hyboj w las. Telo ino béło z tego spotkanio, a Sabała wrócił sie markotny na sałas.

No i pote odhorowoł to zmortwiénie. I pado ku nom: — Jakosi mi niedobrze, cistok piéknie zgłupioł. Wiécie, pado, ospowié ta wereda towarzisom, co Sabała bez flinty teroz hodzuje. Bedzie fnet bol[11]) niedźwiedzi, ze Sabała głupi.

Ano śmiali my sie, kiepkowalimy[12]) ze Sabały, ze go wereda przebrała[13]). Pado Sabała:

— Héj, dyj to óno tak przecie jest. Nima co pedzieć, przebroł mie. Skądsi sie ta zwiedzioł, ze jo bez flinty. Sto djasków, rozum bo to mo. Jo téz, ino ón jakisi lepsi.

Leglimy pote spać w sałasie, bo my śli do Zuberskiéj. Pięci nos béło. Jescemy to urodzali conieco i juzek se trohe zadrzémnon, a Sabała siedzioł przi watrze[14]) i grzoł sie i cosi mamrotoł.

— Coz wy tak haw siedzicie, Jaśku?

— E dy ta nic, — pado[15]) — wiés co? Co ci powiém, to ci powiém, to nic ine, ba jakiesi złe, nie niedźwiédź. Nie niedźwiédź! — pado. Jo głupi nie jest, ale przecie piérsi roz, cobyk takiego widzioł. Nic, ino nieciste w nim siedzi.

[1]) Chochołowska dolina w Tatrach polskich; [2]) tropił; [3]) schodził mu z drogi; [4]) nic sobie z nich nie robił; [5])krzaki, zarośla; [6]) ciebie; [7]) wereda — przezwisko, brzydak; wereda orawska — z Oraw, z Tatr orawskich; [8]) tyle, sporo [9]) nie chcesz być mi towarzyszem; [10]) w istocie; [11]) bal [12]) kpiliśmy; [13]) wystrychnęła na dudka; [14]) ognisko; [15]) powiada.

MATKA BOSKA NIEDŹWIEDZIA.

W kościele sie to naziwo Matka Bosko Grómnicno, to święto na drugiego lutego. Ale my to tutok inacyj naziwali, jako księdzo[1]). To béło Matko Bosko niedźwiedzio, bo sie niedźwiédź ftej budzi ze zimowego spanio. Nijakiego świętego Huberta górale nie znali, ba Matka Bosko béła opiekunka polowaci[2]), niby patrónka. Taci, co za skarbami do hól[3]) hodzowali, wiedzieli ze staroświeckik

W. G. S.

Nasz sekret

(Dokończenie)

Po trzech dniach napada mnie moja pieszczoszka czarnuszka, gdy wracam z pola i melduje mi, że drugi paszkocik wyleciał z gniazdka i że ona po krześle wylazła do sztucznego gniazda i ptaszątko złączyła z pierwszą naszą wychowanką. — To skłoniło mnie do badania, czy dorastające kukulątko wypycha z gniazda gościnne paszkoty, czy też stara kukułka robi miejsce dla swego dzieciaka.

Zdala przez szkła śledziłem, co się na gniazdach dzieje. Pewnego dnia nadlatująca kukułka wywołała szalony popłoch wśród starych paszkotów, ni to jastrząb ni to postułka, może kozoduj, a może kukulica. — Kukułka znikła i skryła się. Ledwie jednak stare paszkoty odleciały szukać pożywienia dla pięciorga wciąż otwartych dzióbków, by je zapychać i napełniać nienasycone żołądki, jak piorun zjawiła się kukułka i szybkim ruchem dziobka jedno paszkociątko wyrzuciła z gniazda, robiąc miejsce dla swego przybłędy. — Tylko dzięki nieznacznej wysokości gniazda nie zabiło się ptaszę. — Tego miałem dość, zaprzysiągłem zemstę.

Idę po moją małą pieszczotkę, by z nią razem wykonać wyrok.

Trafiam na francuską lekcję o historji polskiej, gdy marmuzela wykłada, że lat temu 250 król Jan III Sobieski oswobodził Wiedeń od Turków, że ona to wraz z królową Marysieńką wykonała plany arkanów wojennych, wyznaczyła etapy pośpiesznych marszów husarji polskiej i jakto cesarz Leopold austrjacki błagał przez posłów o pomoc dla zagrożonego chrześcijaństwa. — Ona to z królową Marysieńką miały wciąż rękę na pulsie akcji, a pozwoliły jedynie królowi Janowi III osobiście wyprawiać poszczególne hufce do boju i brać walecznie udział w walce z mieczem w ręku. — Że cesarz Leopold, bardzo speszony, musiał pierwszy zdjąć kapelusz z pióropuszem przed królem polskim, by mu podziękować za pomoc i zwycięstwo. — Turcy uciekli na gwałt za granice państwa katolickiego, a król Jan kazał natychmiast postawić wspaniały namiot Kara Mustafy na Grabenie we Wiedniu tuż przy kościele Św. Szczepana, aby dać dowód, że Św. Krzyż musi zwyciężyć i dominuje nad półksiężycem. Chorągiew Mahometa, nie pytając się cesarza, posłał papieżowi w prezencie, ją zaś mademoisellę zaprosił do tureckiego namiotu na pierwszą polską czarną kawę z kawiarni p. Kulczyckiego, a królowa Marysieńka sama jej ją słodziła.

Miałem dość, więc zapytałem starej wiedźmy, czy już strawiła tę słodzoną królewską kawę, bo ja chcę wziąć

piśmoków[4]), ze ta kajsi na skolak[5]) jest je wykrzesany[6]) król na koniu za jeléniem, ftory mo krzizicek pomiędzi rogi wycifrowany[7]). Ale godali o tym królu, ze to bél polski król Bolesław ze zaśnioném wojske[8]), nie jakisi iny wojok. Góralsci polowace o Hubercie nie wiedzieli. Sabała sie ino do Matki Boskiéj modlél, coby mioł scęście na polowace[9]).

---

[1]) niż księża; [2]) polowac — myśliwy; [3]) do hal, w Tatry; [4]) ze starodawnych rękopisów; [5]) skały; [6]) wyrąbany; [7]) wyrzeźbiony; [8]) legenda o królu Bolesławie Śmiałym i o śpiących rycerzach; [9] na polowaczce — na polowaniu

WŁADYSŁAW GACKI

Myśliwy i Rybak

(szkice i obrazy obyczajowe)

(Ciąg dalszy)

8. Na stanowisku.

Myśliwi zatrzymali się na małej polance, przy skrzyżowaniu duktów. Wszyscy skupieni, w oczekiwaniu, jak zwykle przed pierwszym miotem. Łowczy rozważne wydaje zarządzenia.

Naganka już ruszyła. Myśliwi sprawdzają swoje numery. Krótki sygnał! Ruszają partjami w prawo i lewo. Gajowy, krocząc na przedzie, wskazuje myśliwym poprzednio wyznaczone miejsca, przy każdem z nich gubiąc jednego.

Cichnie odgłos kroków po skrzypiącym śniegu. Wreszcie myśliwy pozostaje sam na swem stanowisku, zewnętrznie niezależny, oddalony od towarzyszy — ogniwo żywej, sprzęgniętej zbiorowości.

Podchodzi do ściany lasu, szukając osłony dla siebie wśród najbliższych drzew. Z nawyku sprawdza posiadanie gwizdka, by móc na wypadek, dawać znać o sobie sąsiadom.

Paroma chwytami oczu, ogarnia najbliższe otoczenie, możliwe linje strzału. — Dukt jest wąski; z lewej strony wżyna się głębiej w przeciwległą ścianę lasu: tam strzał najpewniejszy, jeżeli los zrządzi...

Przed nim wysokopienny bór z bogatem podszyciem. W odległości na strzał, między drzewami kępa krzewów. Cienkie gałązki gną się pod płachciami śniegu. Gdzieniegdzie złocą się wśród śnieżnej bieli koronkowe brzegi paproci, czuby traw, wygięte łuki jeżyny.

— Gdyby z tego gąszczu wyszwyrnął lis! — Myśliwy się składa.

— Przywidzenie! — Karci się w duchu myśliwy za wyskok fantazji. Strzelba wraca na właściwe miejsce.

Poruszane wiatrem konary sypią suchy, skrzący pył. Cicho szemrzą. Błękitny szmat nieba zasnuwa powoli szaro-stalowy woal. Mróz szczypie. Chwyta w kleszcze palce u nóg.

— Jakżeby chciało się zapalić!

— Palić zakazano. I dreptać nie należy!

Myśliwy wsparł się o pień. Śnieg pruszy. Wygładza ślady stóp.

Nieskalana biel — ponowy!

Długie oczekiwanie. Cisza, szmerami drgająca.

— Trwam oto nieruchomy — mimo chłód. Nie palę, choć pokusa dręczy. Na stanowisku — rozkaz! Miło jest spełnić go rzetelnie, bez uchyby, wznieść się nad chwilę własną mocą! Boć rozkaz jest niczem innem, jak skupieniem rozproszonej energji, by stała się żywą siłą, świadomą!...

Ciszą targnął sygnał uroczysty. Zagrały trąbki przeciągle. Naganka ruszyła. Ach ten gwałtowny łoskot

---

dziewczątko na ptaszki. Babsztyl wpadł w szał, że moje postępowanie niepedagogiczne, że przeszkadzam w lekcjach, że ona odpowiada za naukę i postępy, a mnie ptaszki w głowie — cała litanja.

Wpadłem w furję na starą kukłę i powiedziałem, że wolę mieć ptaszki w głowie, niż bliźniaczki w łonie, żeby się dała wypchać, ale tym razem nie bliźniętami, lecz sianem, które i tak ma w głowie, bo król Jan III schował zaoszczędzone na Turczynach siano w jej historycznej łepecie. — Dostała baba histerji, spazmów, wypowiadała służbę — było straszne. — Z angielską flegmą powiedziałem, że nie ja ją godziłem, nie ja jej pensję daję, a zgóry rezygnuję, by ona mi cokolwiek bądź dawała, nawet rady.

Nareszcie wpadła w fotel, który mimo trzasku wytrzymał napór, a ja ubezwładniwszy adwerserkę, zabrałem moją smarkulę na ptaszki.

Po drodze zawiadomiłem ją, że tak, jak Sobieski pokonał i ukarał Turczyna, tak my musimy ukarać kukułkę, za winę ojców na niej samej, że kukułczątko wyrzucimy z gniazda.

Maleństwo moje ze łzami w oczach zaczęło prosić o łaskę, że kukulątko maleńkie, że sobie rady nie da, trzeba je karmić i t. d.. — Uspokoiłem małą ptaszniczkę, że nie wyrzucimy całkiem ptaszka, tylko po za granice bezprawnie zajętego gniazda, że wszystkie paszkociątka wrócą do swego gniazda, a kukułka do oficyny, gdzie ją i tak karmić będą przybrani rodzice. — Byliśmy w zgodzie. Gniazdo na kukułeczkę odsunięto tak, by nie mogła wrócić do paszkociąt i słodka przyrodniczka podsadzona, osobiście przeprowadziła przenosiny.

Po załatwieniu się z intruzem, wracaliśmy do dworu, ja jako Sobieski, głównodowodzący siłami połączonemi, milusik jako królowa Marysieńka, wprowadzająca w czyn myśli wielkiego króla z tą różnicą, że Marysieńka Sobieska z pasją lubiła bawić się orzechami, które do dziś dnia na kamieniu rosną w Podhorcach, a moja mała królewna ostrożnie przenosiła pisklęta z puchu w puch. — Wszystko zawdzięczaliśmy tak nam bliźniaczej francusce królowej Marysieńki, która nic nie wiedziała o naszym sekrecie.

Wszystko było w porządku, paszkoty karmiły dorastające ptaszki, nie mogąc nastarczyć tym wszystkim desperacko otwartym dzióbkom. Ale bez rozczarowań życia przebyć nie można.

Pewnego poranka wpada czarny mój promyczek zrozpaczony, że kukułeczki nie ma w gnieździe, że koniecznie trzeba szukać, ratować, wołać o pomoc. — Przeszukaliśmy z legawcem cały szpaler i okolicę, kukułki ani śladu. Podejrzenie padło na kotkę, która dokarmiała spore ko-

serca — odzew całej istoty na głos upragniony! O radości niewysłowiona!

Przeczucie bliskości wypełnia duszę. Zbiera się w sobie, pręży moc.

O lesie cichy, kryjący tajemnicę powodzenia łowcy, rozśpiewany pieśnią jego serca — nadziei i trjumfu!

Myśliwy przyczaja się za pniem. Napięte bystrych oczu cięciwy...

Padł strzał jeden, drugi — z boku. Znów dwa boczne! Pierwsze ruszono lisy! Naganki jeszcze nie słychać. Znów strzały dalsze. Naganka się zbliża. Już słychać krzyki, gwizdy, hałasy.

Chwile najwyższego napięcia. Słychać trzaski krótkie, suche i strzały grzmiące, echowe, zamierające w dalekich pomrukach. Wśród potępieńczej wrzawy — namiętna kanonada, prestissimo, jako brawurowe zamknięcie dzieła!

Na białym śniegu znaczą się szare plamy upolowanej zwierzyny.

Finale: sygnał krótki, wstrząsający, władczy — rozkaz: nie strzelać przed nagankę!!!

9. Jesienny połów.

Hej, rozszumiały się, rozśpiewały chwiejne oczerety na wietrze jesiennym! Rozpierzchły się blade mgły, łąkę kwefiące. Wiatr dął zamaszysty, hasał szumnie po krzewach nadbrzeżnych, wichrzył czuby trzcin. Wyzłocił się dzień!

Po ścieżce, rozmokłej od rannego deszczu, rybak dobrnął do brzegu rzeki. Zatrzymał się w miejscu, gdzie dno złociło się piaskiem i począł „ciąć" kiełbie. Złowione wrzucał do blaszanki. Brały, jak na komendę; naciął też migiem parę mendli.

Ruszył w górę rzeki, upatrując miejsca co najlepsze, aby rozpocząć połów, bodaj najmilszy — zbója wodnego, szczupaka!

Zatoka pod gęstą trzciną nęci ciemną głębią oczy rybaka. — Już wędzisko chwieje się nad szumnym czubem oczeretów. Już brzęczy kołowrotek i raźny żywiec spada z pluskiem na wodę.

Połów to jedyny: nie czeka się na zdobycz, ale jej się szuka, jak zająca w polu. Rybak musi wypatrzeć, gdzie się zbój ukrywa, wymacać go wędką, jak mówią rybacy.

Pociąga więc żywca do brzegu; znów przesunął wędę po wodzie, wabiąc żarłoka z głębi wodorostów. Kilkakroć powtórzył fortel — napróżno.

— Widać go tu niema lub zaspał się może jegomość po sutym posiłku... Znajdę ja cię, bo was tu nie brak i wasza teraz pora do brania — mruczy rybak i przechodzi na inne miejsce.

Nastawił kołowrotek na wolny obrót. Zarzuca hen, daleko, na cichy bełt pod trzcin ścianę. Nie zdążył podciągnąć, gdy znikł nagle pękaty, zielono-biały spław, porwany żywą siłą. Wziął! Unosi żywca, ściągając sznur z rolki. Już palec wskazujący na kołowrotku: wstrzymane obroty rolki. Wówczas jeden mocny ruch — jest! Rybak skręca sznur, wytrzymyjąc niegroźne szarpanie. Po kilku chwilach sprowadził do brzegu sporego szczupaka.

Wpuścił do siatki jedynaka i rusza dalej, hen w górę rzeki i wszędzie, gdzie bełt, zatoka, rzuca wędę, wsłuchany w odgłosy swej samotności: szmery krzewów i trzcin, rozchylanych naprężonem ramieniem i traw, żółknących, poruszanych stopą.

Rozgląda się bacznie po wodzie, szuka oczyma, czy żarłok nie goni gdzie drobnicy, bo tam szczupak pewny.

---

cięta. — Specjalna komisja w tym celu zwołana, znalazła w skrzyni kociąt piórka. Trudno zabierać matkę dzieciom, zapowiedzieliśmy więc kotce, że jeszcze raz, a obetniemy jej uszy przy głowie za karę i na przestrogę dla kociąt. — Lecz któż uwierzy kobiecie i kotce!

Dla bezpieczeństwa wybudowaliśmy zasieki z kolczastego drutu, aby kotka nie mogła nawet łapką dosięgnąć gniazdka i uczyć kociąt bandytyzmu. To poskutkowało. Paszkotki niebawem skakały po gałęziach i próbowały podlatywać. A gdy czereśnie obrodziły, cała rodzina przeniosła się do sadu na czereśniowe drzewa.

Typowa walka o byt wnet też zmieniła sytuację. — Moja mała protektorka ptasząt wypowiedziała im walkę za czereśnie. — Nie szczędząc drobnych stopek, łaziła po drzewach i objadała czereśnie doszczętnie, by je uchronić przed zachłannością niewdzięcznych wychowanków swoich.

Dzięki Bogu sadownik zebrał czereśnie, które zaczęły grozić bolibrzuszkiem wartowniczce, a paszkotom nic a nic nie szkodziły, natomiast obietnica słodkich konfitur, kompocików i marmolady — otarła łzy żalu za ogołoconemi ze swej krasy drzewkami.

Nie było już czego pilnować, ptaszyny były nieuchwytne. Opowiedziała mi moja pieszczoszka, że raz do pilnującej swego gniazdka przyszedł jakiś pan w czapce i z kupą papierów pod pachą i zapytał — czy pan dziedzic w domu? Na odpowiedź, że Wujcio jest i pisze dla niej bajeczkę, pogłaskał ją po głowie, na co oburzona zapytała, czego od niej chce. — On zaś zapytał, co ona tu robi sama i maleństwo opisało temu panu całą historję gniazdka w sekrecie. — No; słowem zdradziła nasz sekret — ot kobieta! — Pan w czapce z papierami — otarł łzę, zasmucił się, popatrzył na moją pieszczotkę i rzekł: „A no właśnie miałem wyrzucić pana dziedzica ze dworu za podatki, ale po tej bajeczce powiem w urzędzie, że dwór pusty, nie ma co zająć, a samego pana nie było, tylko maleńka czarnuszka słodka, z ptaszkami".

Tak Bóg przez malutkich chroni starych. — Oby takich komorników narastało jak maku w główce. — Trzeba wiedzieć, gdzie, kiedy, przeciw komu i jak zastosować gwałty.

I tak chcąc, nie chcąc, prośba małej sikorki i obietnica Wujtasika znalazła się na papierze.

Tajemnica jednak zachowała się ściśle. — Komornik zrobił murek, — no a my samo przez się — przecież to był „nasz sekret".

Dojrzał go, jak marszcząc powierzchnię, ugania się za rybą. Podbiegł i puścił w to samo miejsce żywca. Wziął! Zerwał żywca. Puścił świeżego — zerwał znów! Rybak się niecierpliwi. Nowego żywca zakłada. Spław uciekł pod wodę! Rybak wyczekał, podając mu sznur. Wreszcie podciął szczęśliwie: tęga była sztuka!

Trafia się pono na wodach, że weźmie raz i drugi, trzeci, wyje wszystkie żywce z blaszanki, a podciąć się nie da! Wielki ladaco, jak w boru wilkołak, co go się kula nie ima. Niejeden rybak nad takim dołem dni całe prześlęczał, sznurów narwał, żywców napsuł, nazmagał się ze szczupakiem, jak z koniem — i napróżno! Gadają, że niektóry, co głupszy, da się wkońcu wziąć, ale może i nie! Kto ich tam wie: który z brzegu!...

Ruszył znów przed siebie, próbując, gdzie się dało. Brały zrzadka i drobne. Podciął jeszcze sztuk parę. — Wreszcie, jak toporem uciął — „branie" całkiem ustało!

Zmęczył się rybak dreptaniem. Przysiadł na wysokim brzegu, zakąsił, pociągnął kawy z termosa, zapalił. Rozejrzał się.

— Ani śladu towarzystwa — pomyślał. — Rozpierzchło się bractwo. Każdy na swojem miejscu, według własnego gustu... Dyrektor pewnie przy młynie ślęczy, zawzięty na okonie. Jak sobie miejsce upatrzy, to i dzień cały przesiedzi... „Cygan" pewnie gdzieś odbił się daleko; chłop zdrów, młody, może biegać; pewnie ugania się za barwinami, choć teraz już na nie nie pora... A doktór przysiadł gdzie pod krzakiem i pewnie jeszcze nęci od rana grochem lub ziemniakami...

Rybak zdjął kożuszek, wyciągnął się na nim wygodnie, zapatrzył się w wolny prąd rzeki.

Zawsze to miłe dla oczu rybaka: ten ruch ciągły, płynny, bez widocznego początku i końca, toń zmienna, co kryje życie, świat, w swym żywiole zamknięty. Podpatrzeć się tylko daje niekiedy...

W cieniu olch, nisko nad wodą obsiadłych, wśród zwikłanych, gnijących korzeni, naniesionych wodą badyli, przemykają okonie z ciemnemi pręgami na grzbietach. Raz wraz wyrywa się któryś z gromady, ciężko, niezdarnie zapędza się ku świetlanej powierzchni za drobnicą, jakby rozsypaną garścią owsa...

Wśród zielonej gęstwi wodorostów uwija się mrowie drobiazgu: to płotki, wzdręgi. Niepewne to chwili życia, ofiary zbójów wodnych — wciąż w ruchu. To rozpryskują się, jak strzałki złote, srebrzyste, kryjąc się przed napastnikiem; to zapadają w głąb, to strzelają ku powierzchni, wyskakują z toni, jak „kaczki", rzucone po wodzie przez chłopców dla zabawy. Oto jedna w popłochu wyskoczyła na szeroki liść nenufara, trzepoce się... Może ujdzie pościgu? Drobny plusk i, staczając się z liścia, wpada w rozwartą paszczę szczupaka żarłoka!

Tuż pod wierzchem niezliczone mrowie drobnicy ugania się za muszkami, drobnemi kółkami marszcząc toń — to srebrne okleje: przeganiają się wzajem, pierzchają płoche — istna zabawa dziecięca! A tęgi szczupak, zbój wodny, jak wartownik, stoi nieruchomy, wygrzewa się w słońcu, wśród wodorostów splątanych. Czai się, upatruje ślepiami okrutnemi, czarnemi. Już spostrzegł, mała rybka pląsa, kołuje na miejscu; to zapada w głąb, to ucieka w górę, usiłując zerwać się z uwięzi, tak ponętnie łyskając łuską srebrzystą — ofiara na wędce; za chwilę — zguba zbója wodnego! Poruszył skrzelami, znęcony natrętną pokusą, przebija sobą toń, z paszczą rozwartą rzuca się przed siebie... Za chwilę spław zatonie, wygnie się w pałąk wędzidło... A wędkarz w swoim żywiole! Hej! Rybak powstał. Przetarł oczy. Zachód płonie purpurą. Chłód wieczorny wstrząsa. Syrena pozostawionego przy młynie auta wzywa rozpierzchłych rybaków do powrotu.

C. d. n.

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI

W nawiązaniu do „Kwestji krajowej myśliwskiej amunicji".

Pan generał W. Maryański w swym artykule pod powyższym tytułem („Łowiec" Nr. 13—14 1933, str. 162), wzywa do dawania opinii, jakie ładunki kulowe uważamy za najpilniejsze do realizacji krajowej.

Chcąc mniej miejsca zająć, powołuję się na swój poprzedni artykuł w tym temacie w „Łowcu" Nr. 9 z 1 maja 1932, „Posezonowe".

Niniejszem podaję swe osobiste zdanie tylko co do „S z ó s t k i" Schönauera, używając go od trzydziestu lat przeszło w długim i krótkim*) typie.

Swego czasu, w latach 1904—1906, t. j. w okresie przeładowania jeleniem karpackim kniei Jasień i okolicy w powiatach Kałusz i Dolina — i stąd ogromnych szkód, miałem tam odstrzał ośmdziesięciu sztuk rocznie. Wtedy praktycznie próbowałem rozmaitej broni kulowej — i przyszedłem do przekonania, że „szóstka", mój ulubiony towarzysz w górach, nadaje się jedynie na białej stopie na naszą grubą zwierzynę. Na śniegu jednak i przy odpowiednich warunkach kniei, można się delektować precyzją strzału i składnością tej broni. — Oto jeden z epizodów, przeżytych — dzięki „szóstce".

Dnia 5 lutego 1903, polowaliśmy z nagonką na grubym śniegu w ślicznej karpackiej kniei Sopot nad Stryjem. Miot stanowiła zbocz góry kryjąca w swym gęstym młodniku świerkowym — otropione dziki. Główna przypuszczalna waga zwierza szła ku dołowi, na łąkę, która miot ten dzieliła od następnego, stanowiącego lesistą zbocz przeciwległą. Tam też od łąki ustawiliśmy leciwego naszego gościa — hr. Dzieduszyckiego ze Stryja. Ja z nadleśniczym Błońskim, jako gospodarze, rozstawiliśmy się wysoko, na flance, ze względu na możliwość wyłamania się tamtędy dzików z miotu. — Z mego stanowiska panowałem wzrokiem także nad częścią dolnej łąki, na której drugim końcu stał p. Dzieduszycki. — W chwilę po rozpoczęciu pędzenia, padł strzał na dole i on zwrócił całą mą uwagę ku owej łące... Wtem spostrzegłem jakby czarny perlisty sznur, czy korowód, przecinający ją w poprzek — to dziki, torujące sobie marszem „gęsiego" ucieczkę ku przeciwległemu gąszczowi — Nie zważając na odległość znacznie ponad dwustu kroków, wypróżniłem ogniem cały magazyn Schönauera**) — wściekły poprostu, że się zwierz tak bez-

*) Lufy długości 45, 50 i 56 cm.

**) Pierwszy typ o 45 cm lufce.

karnie wymyka. Mierzyłem jednak możliwie dokładnie, jak na taką odległość, biorąc na cel każdą sztukę mijającego starego buka, stojącego nad łąką. Ten ogień masowy, na oko nie dał żadnego rezultatu.

Po miocie zeszliśmy się na dole koło p. Dieduszyckiego ja jednak sforsowałem przedtem śnieg, prawie po pas i dostałem się pod owego buka. Tam ku memu wzruszeniu, które tylko ten zrozumie, kto podobne sytuacje jako myśliwy przeżywał, stwierdziłem wprawdzie nie farbę, ale doskonale nastrzyżoną krótką szczecinę. Powróciłem na punkt zborny, gdzie tymczasem p. Dieduszycki opowiadał o swym bezskutecznym strzale na daleko defilujące dziki. „Ale tam u góry, ktoś strasznie kanonował" — zwraca się p. Dieduszycki do mnie... — Bez słowa na razie odpowiedzi, kazałem leśnemu wziąć parę ludzi z nagonki i iść w tór dziczy, wiodący w drugi miot brzegiem łąki. Po dłuższej chwili, zaczęto stamtąd ściągać najpierw dwa prawie-przelatki, a w końcu grubą lochę, — kolejno znajdywane w gąszczu, w miarę spinania się w górę miotu.

Teraz jednak drugi, wprost haniebny epizod.

Z końcem października, szliśmy na czarnej stopie z leśniczym p. Maykowskim, głęboką, górską partją. Na dwieście kroków spostrzegłem tęgiego jelenia stojącego na połeć i patrzącego na nas. Przyskoczywszy do świerka, zmierzyłem doń przez lunetkę na „szóstce", Schönauer o 50 cm lufie. Byk zaznaczył kulę, ale zmylony przeciwnym pogłosem wśród stoków gór — zaczął uciekać, z początku w susach, potem coraz wolniej — wprost na nas! Mijał nas już całkiem wolnym i słabnącym krokiem, a ja mając go na połeć, w takiej nie do chybienia odległości, wypaliłem doń wszystkie trzy ładunki z magazynu. Co prawda nie mierzyłem w głowę, ze względu na możliwość uszkodzenia poroża, lecz po za przednią łopatkę. Byk nie padł, lecz idąc tak chwiejącym się krokiem, że pewne było, że zaraz się położy, zniknął w podroście stoku ku dołowi. Odczekawszy pół godziny, zaczęliśmy iść jego śladami. Żadnej farby! Strzelałem kulami tak z ekspanzą, jak z końcem ołowianym. Poświęciliśmy kilka godzin poszukiwaniom, potem gajowi; niestety o zdobyciu psa, wtedy mowy nie było. Jeleń przepadł, jakby zaczarowany.

Odtąd używam „szóstki", na czarnej stopie, jedynie na kozły i w tej granicy (przy przestrzale pociskiem z końcem ołowianym), uznaję Schönauera za broń pierwszorzędną.

Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 31 lipca 1933 r.

Obecni pp.: przewodniczący Szperling Wacław, Gen. Fabrycy Kazimierz, Garczyński Walenty, Gędziorowski Bohdan, Knothe Herman, Lisowski Czesław, Tołłoczko Kazimierz, Tallen-Wilczewski Aleksander. — Protokół prowadził szef biura, Kazimierz Kamieński.

Protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 3 lipca b. r. postanowiono nie odczytywać, ponieważ został on zatwierdzony przez Zarząd Związku na posiedzeniu w dniu 8 lipca r. b.

Stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia P. Z. S. Ł. z dnia 9 lipca r. b., postanowiono rozesłać do pp. delegatów powiatowych okólnik w sprawie prenumeraty „Łowca Polskiego" treści, proponowanej przez p. przewodniczącego, Wacława Szperlinga.

Wykonując uchwałę Walnego Zgromadzenia P. Z. S. Ł. z dnia 9 lipca r. b., powołano do życia ścisły Komitet Redakcyjny, w skład którego, na wniosek p. red. Garczyńskiego, weszli pp. Jerzy Dylewski i Władysław Zabiełło.

List p. Henryka Steinhagena, z podziękowaniem za przyznanie mu najwyższego odznaczenia „Złom", przyjęto do wiadomości.

P. Bohdan Gędziorowski zakomunikował, że nie mógł dotąd poczynić starań w Ministerstwie Komunikacji w sprawie w sprawie zniżek kolejowych — z przyczyn od niego niezależnych.

Na wniosek Nadleśnictwa Dóbr Kraszkowice i Raduszyce nadano medal bronzowy strażnikowi łowieckiemu, Janowi Chałubiec.

Przyjęto do wiadomości pismo delegata na powiat Łomża p. K. Komierowskiego w sprawie działalności łowieckiej starosty łomżyńskiego, p. Mieczysława Łyska. Wymieniony w roku bieżącym zawiązał Powiatową Radę Łowiecką, której dał całkowite kompetencje w sprawie wydawania kart łowieckich.

Nadesłany przez Małopolskie Towarzystwo Łowieckie memorjał do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w sprawie cofnięcia rozporządzenia z dnia 9 listopada 1932 r. Nr. 11 poz. 925 dz. u. R. P., dotyczącego strzelania łań i kóz w czasie od 16 stycznia do 15 lutego, postanowiono przesłać do Ministerstwa Rolnictwa z wnioskiem przychylnym.

Przyjęto do wiadomości pismo Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w sprawie przesłania opinji tego Ministerstwa do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o zmniejszenie wysokości norm podatku komunalnego od wykonywania prawa polowania.

Przyjęto do wiadomości pismo Komitetu Wystawy Psów rasowych w Warszawie z podziękowaniem za ofiarowaną przez Związek nagrodę na tegoroczną wystawę psów. Nagroda ta, została przyznana p. K. Antoszewskiemu za pointra „Groma".

Z powodu nieobecności p. Skrzypka, wniosek p. Tchórznickiego w sprawie propagandy łowieckiej, postanowiono odłożyć do następnego posiedzenia Wydziału.

Sprawozdanie z VIII Narodowych Zawodów Strzeleckich, Myśliwskich i Łuczniczych, odbytych w Poznaniu, przedstawił p. Kazimierz Kamieński, jako komisarz strzelnic myśliwskich.

Udział zawodników w strzelaniach kulowych był liczny, brało bowiem udział 28 strzelców. Wyniki, zwłaszcza w konkurencjach, po raz pierwszy w roku bieżącym wprowadzonych, były zupełnie dobre.

W strzelaniu do rzutków brało udział, jak zwykle, daleko mniej zawodników (w klasie pierwszej 7, w drugiej — 5). Przyczyną tak nielicznego udziału nie był brak zainteresowania, lecz duże koszty, związane z udziałem w tej konkurencji.

W roku bieżącym zostały wprowadzone po raz pierwszy odznaki strzeleckie w strzelnicach myśliwskich, które zostały przyznane według wyników. Klasę wyborową w strzelaniu do rzutków zdobyli, osiągając ponad 260 punktów pp. Józef Kiszkurno, K. Łyskowski, kpt. St. Sztukowski i dr. J. Ciążyński, klasę pierwszą, osiągając ponad 240 punktów, pp. St. Czerski, A. Baranowski, W. Błąk, K. Tobola, klasę drugą pp. H. Tyszkiewicz i T. Ertel.

Ci zawodnicy, którzy w roku bieżącym nie zdobyli odznaki strzeleckiej, w roku przyszłym, bez względu na ilość osiągniętych punktów, muszą przejść kolejność klas, poczynając od klasy trzeciej.

Przechodząc do sprawy sędziów, p. K. Kamieński z przykrością zaznaczył, że z pośród pięciu kandydatów, przedstawionych przez Wielkopolski Związek myśliwych, a zatwierdzonych przez Zarząd Główny Polskiego Kolegjum Sędziów, tylko p. Kęszycki przez cały czas trwania zawodów od rana do późnej nocy brał udział w pracach sędziowskich, za co należy mu się wdzięczność i podziękowanie. P. Górski, który był jednocześnie członkiem Komitetu Wykonawczego Zawodów, miał częste posiedzenia i dlatego niewiele mógł czasu poświęcić sędziowaniu; inni również mało czasu poświęcili, a byli i tacy, którzy wcale się nie zjawili, a nawet nie uważali za właściwe usprawiedliwić swej nieobecności. — Sędziów, którzy obowiązki swe lekceważą, należałoby, zdaniem p. K. Kamieńskiego odwołać.

Obecność, zwłaszcza podczas konkurencyj kulowych, trzech sędziów jest konieczna, niestety nie było ani jednego dnia podczas zawodów, żeby ta ilość sędziów była obecna. Utrudniało to bardzo prowadzenie zawodów.

Uroczyste rozdanie nagród odbyło się w dniu 23 ub. m., o godz. 6-tej wieczorem w sali hotelu Bazar.

W imieniu Prezesa Rady Strzelectwa w Polsce, przemówił p. plk. Felsztyn, sekretarz generalny Rady.

Nagród do rozdania zawodnikom było bardzo dużo, w tem większa część dużej wartości artystycznej. Żałować tylko należy, że Komitet Wykonawczy Zawodów, tak małą zwrócił uwagę na strzelania myśliwskie, przeznaczając im niewiele i to najmniej wartościowych nagród. Nadomiar złego kilka nagród było wydanych niezgodnie z przeznaczeniem ofiarodawców.

Nic więc dziwnego, że nastąpiło wielkie rozgoryczenie wśród zawodników-myśliwych, którzy poświęcają tyle trudu i pieniędzy, nadto zaś konkurencje myśliwskie zaliczyć należy do najtrudniejszych.

Omyłki zaszłe przy rozdawaniu nagród narazie nie dadzą się naprawić, według zdania plk. Felsztyna nie wypada odbierać ich teraz zawodnikom. Natomiast przyrzekł p. plk. Felsztyn, że Komitet nagrody te odkupi i wręczy komu należy. P. plk. Sikorski obiecał, że, jeżeli znajdzie jeszcze fundusze, to nagrody kupi i prześle je do dyspozycji P. Z. S. Ł.

Nagrody te powinny być zawodnikom naszym zwrócone, czego należy domagać się od Naczelnej Rady Strzelectwa w Polsce.

P. Gędziorowski prosi Wydział o upoważnienie go do wniesienia tej sprawy na najbliższe posiedzenia Naczelnej Rady Strzelectwa w Polsce, na co Wydział Wykonawczy wyraził swoją zgodę.

Naczelna Rada Strzelectwa w Polsce, przekazała P. Z. S. Ł. zaproszenie Komitetu Międzynarodowych Zawodów o Mistrzostwo Europy i świata w strzelaniu do rzutków, do wzięcia udziału przez polską ekipę w tych zawodach.

W skład tej ekipy weszli pp.: Kiszkurno, Łyskowski, Ciążyński, i Sztukowski. Ponieważ p. kpt. Sztukowski z powodu choroby nie może wziąć udziału w zawodach, na jego miejsce wszedł p. Czerski.

Zwrócono się do Zarządu Z. A. „Pocisk" S. A. z prośbą o udzielenie bezpłatnie nabojów dla ekipy. Na pismo to P. Z. S. Ł. otrzymał odpowiedź, w której Z. A. „Pocisk" S. A. wyrażają gotowość udzielenia czterem członkom polskiej ekipy, wyznaczonej przez P. Z. S. Ł. na wspomniane zawody po 1.000 sztuk nabojów dla każdego zawodnika.

Wydział Wykonawczy P. Z. S. Ł. stwierdza, że Z. A. „Pocisk" S. A. zawsze należycie ocenia znaczenie sportu myśliwsko-strzeleckiego i przychodzi P. Z. S. Ł. z wszelką pomocą w urządzaniu tego rodzaju imprez. Postanowiono wyrazić Z. A. „Pocisk" S. A. szczerą wdzięcznoćś i wyrazy uznania, z powodu obywatelskiego potraktowania, tej tak dla nas wszystkich ważnej sprawy.

Na tem posiedzenie zostało zakończone.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 25 sierpnia 1933 r.

Obecni pp.: przewodniczący W. Szperling, W. Kiltynowicz, C. Lisowski. inż. K. Tołłoczko, mec. A. Tallen-Wilczewski: protokół prowadził J. Bokiewicz.

Nieobecność swą usprawiedliwili pp.: red. W. Garczyński, inż. H. Knothe i J. Skrzypek.

Sprawę powołania nowej Komisji propagandowej odłożono do następnego posiedzenia Wydziału, wskutek nieobecności p. J. Skrzypka.

Deklarację i akta Rembertowskiego Kółka Łowieckiego „Czapla" Wydział Wykonawczy postanowił przedstawić Zarządowi Związku na najbliższem posiedzeniu plenarnem z wnioskiem o zaliczenie wymienionego Kółka w poczet Stowarzyszeń Związkowych.

Wobec przeniesienia się dotychczasowego delegata Związku w powiecie Lwów (woj. lwowskie), p. Stanisława Madeyskiego, do Łucka, Wydział Wykonawczy przemianował p. Madeyskiego na powiat i miasto Łuck (woj. wołyńskie).

Wydział wykonawczy przyjął do wiadomości podziękowanie p. dr. Adama Lardemera (Kraków) za przesłane mu życzenia z okazji wyboru do Zarządu Związku.

Przyjęto do wiadomości podziękowanie pp. Jerzego Dylewskiego i Władysława Zabiełły za wybór ich do ścisłego Komitetu redakcyjnego „Łowca Polskiego". PP. Dylewski i Zabiełło wybór przyjęli.

Przyjęto do wiadomości podziękowanie p. Władysława hr. Zamoyskiego za odznaczenie strażnika łowieckiego dóbr Pilczyce, Andrzeja Dyktyńskiego, bronzowym medalem zasługi łowieckiej.

Zaproszenie Komitetu organizacyjnego Zjazdu lekarzy i przyrodników w Poznaniu do udziału w tym Zjeździe, postanowiono przesłać Wielkopolskiemu Związkowi Myśliwych z prośbą o reprezentowanie Związku.

Na urządzony przez Wielkopolski Związek Myśliwych konkurs psów dowodnych i tropowych Wydział Wykonawczy postanowił przeznaczyć nagrodę w postaci przedmiotu. Do wyboru tej nagrody upoważniono p. prez. Szperlinga.

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. dnia 3 lipca 1933 r.

Obecni Wiceor. A. Mniszek A. Sander, oraz członkowie: W. Garapich, dr. A. Malaczyński, dr. St. Piechowski, St. Pieńczykowski, dr. J. Rosienkiewicz, A. Ulm, dr. W. Ziembicki i zast. członków: St. Jaśkiewicz, dr. K. Obmiński, inż. T. Sroczyński i inż. Zb. Sander. — Nieobecność usprawiedl wili: prezes J. hr. Bielski, M. Chrzanowski, H. Prek i R. hr. Bielski.

Po odczytaniu i przyjęciu protokołu z poprzedniego posiedzenia zdaje A. Ulm sprawozdanie z przebiegu komisji dla opracowania statutu przyszłego Polskiego Związku Łowieckiego. Na tej komisji, obradującej pod przewodnictwem wiceprezesa P. Z. St. Łow., gen. K. Fabrycego, ukończono przedewszystkiem opracowanie artykułów projektowanego prawa łowieckiego, które dotyczyły organizacji łowiectwa w Polsce. Postanowienia dotyczące ułożono zgodnie z przyjętą na posiedzeniu komitetu wykonawczego Związku z dnia 12 czerwca 1933 r. (vide „Łowiec" Nr. 17) zasadą bezpośredniości i przymusowości należenia do Polskiego Związku Łowieckiego.

Następnie przerobiono projekt statutu P. Z. Ł. Zarys organizacji ma się przedstawiać w ten sposób, że w każdym powiecie mają być Powiatowe Rady łowieckie, składające się z 3—5 członków ,wybranych z pośród członków Związku z mianowanym przewodniczącym i jego zastępcą z pośród delegatów Związku, którzy muszą być członkami dotyczącego towarzystwa ideowego. W obrębie województw, ma być Wojewódzka Rada łowiecka w składzie 3—5 członków, wybrana przez delegatów Powiatowych Rad łowieckich i z tyluż członków, mianowanych przez towarzystwa ideowe. Wojewódzka Rada łowiecka jest organem doradczym delegata wojewódzkiego, mianowanego przez Radę Naczelną Związku na propozycję i z pośród członków ideowego tow. łowieckiego. Cała Polska zostaje podzielona na 5 obszarów łowieckich o terenach zbliżonych pod względem łowieckim, w których istnieją regjonalne towarzystwa łowieckie jako organa opinjodawcze i mające pieczę nad zachowaniem kultury łowieckiej. W stolicy istnieje Naczelna Rada Łowiecka z Komitetem Wykonawczym jako organa wykonawcze, oraz Walne Zgromadzenie członków, jako organ uchwalający Związku. Usiłowaniom przedstawicieli tow. ideowych udało się przeprowadzić takie zmiany w składzie organów Związku, aby interesy łowiectwa były należycie zastąpione. — Każde z towarzystw ideowych ma wysyłać na Walne Zgromadzenie po 10 członków, przyczem zapewniono, że koszta przyjazdu, będą pokrywane przez Związek. — Do obowiązków towarzystw ideowych należeć będzie współpraca z Naczelną Radą łowiecką i administrowanie subwencjami utrzymywanemi od Naczelnej Rady Związku, wedle jej wskazówek.

Za należyte zastąpienie i bronienie interesów Towarzystwa, wyrażono p. Ulmowi podziękowanie.

Prezes zapowiedział, że na Walne Zgromadzenie P. Zw. St. Ł., mające się odbyć 9 lipca b. r., wyjedzie osobiście. W razie niemożności wyjazdu M. Chrzanowskiego, który jest członkiem Zarządu P. Z. St. Łow., wydelegowano A. Ulma.

Zawody strzeleckie w Lubieniu Wielkim

W dniu 23 lipca b. r.

Trudnego zadania urządzenia zawodów strzeleckich w Lubieniu W. podjął się p. płk. Kazimierz Jackowski, kierownik zarządu lasów bar. Adolfa Brunickiego, a bardzo czynny nasz członek, przy współpracy kapitana K. O. P. p. Zielińskiego. — Strzelnica była urządzona w parku zdrojowym, nader pomysłowo, dając zupełną gwarancję bezpieczeństwa, a z drugiej strony, pozwalając strzelcom na oddanie strzałów w doskonałem oświetleniu. Konkurencji było pięć, mianowicie: strzelanie z broni małokalibrowej do tarczy stałej na 25 metrów, do tarczy stałej na 50 metrów, do ruchomego zająca na 35 metrów, do ruchomego bandyty z dowolnego pistoletu na 35 metrów i wreszcie do rzutków.

Strzelanie rozpoczął strzałem honorowym p. bar. Adolf Brunicki uzyskując piękny wynik, 10 punktów, w sam środek tarczy. — Do konkurencji pierwszej stanęło 23 zawodników, z których najwięcej punktów, bo 89 na możliwych 100, uzyskał inż. Zbigniew Sander. Drugim był p. Romuald Jackowski, uzyskując 84 pkt., a trzecim p. Kupczyński, radca pocztowy i prezes P. W. pocztowego we Lwowie, którego zasługą był liczny udział zawodników pocztowego P. W., tak pań jak i panów, demonstrujących pięknemi wynikami wielkie zamiłowanie i ćwiczenie w strzelaniu. — Do drugiej konkurencji stanęło 7 zawodników, z których pierwszą nagrodę zdobył inż. Małecki z Zawidowic, uzyskując 83 punktów na 100 osiągalnych, a drugą inż. Zb. Sander, uzyskując 81 punktów. — Do trzeciej konkurencji — ruchomego zająca — stanęło siedmiu zawodników, z których najwięcej punktów, bo 16, na możliwych 20, uzyskał p. Stanisław Jaśkiewicz, członek Wydziału M. T. Ł., drugim był inż. Małecki, uzyskując 10 punktów a trzecim p. Pasyłowski, uzyskując 9 punktów. — W czwartej konkurencji — do ruchomego bandyty — pierwszym był p. Romuald Jackowski, a drugą p. kapitanowa Zielińska, dając dowody wielkiej umiejętności we władaniu bronią krótką. — Wypada podnieść celowość tej konkurencji, bowiem bardzo wiele osób posiada rewolwer dla obrony osobistej, a nie ma sposobności sprawdzenia swej sprawności, jak też walorów swojej krótkiej broni. — Do strzelania do rzutków stanęło 8 zawodników, z których największą ilość punktów, bo 10 na 10 możliwych, uzyskał p. Stanisław Jaśkiewicz. Dziewięć rzutków zbił inż. Zbigniew Sander, a osiem zbił wiceprezes M. T. Ł. p. A. Sander.

Piękne nagrody honorowe, dotowane przez p. br. Brunickiego, przez Komitet Sportowy i przez M. T. Ł., wręczyła zwycięzcom panna Marja Wodzicka, wnuczka właściciela Lubienia.

A. Ulm.

TREŚĆ NUMERU 19:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł. 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec”, Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32